

ZOŁNIERZ POLSKI



PISMO POSWIĘCONE CZYNOWI I DOLI ŻOŁNIERZA POLSKIEGO.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, WIERZBOWA NR. 9. — TELEFON 632 WOJENNY
CENA EGZEMPLARZA 25 FEN.

Mowa Naczelnika Państwa 'w Lublinie.

Podczas swojego pobytu w Lublinie Naczelnik Państwa wygłosił mowę, w której między innymi powiedział:

Przyjęciu mnie w Lublinie, jeden z mówców wskazał mi na moją słabość, słabość zrozumiałą, słabość w stosunku do tego ojczystego grodu. Prosił mnie przytem, abym w stosunku do Lublina i do jednej z instytucji lubelskich zachował chociaż część tej miłości, która tak naturalnie wzrasta w sercu mem do innej.

Proszę Panów! Z Lublinem jestem związany uczuciami prywatnej—powiem—natury. Jestem żołnierzem. Kocham żołnierkę i byłem tym, któremu los pozwolił w wielkiej wojnie światowej, gdy wielkie,

olbrzymie państwa rzucały na kartę miliony—miliony ludzi, miliardy pieniędzy, cały przepych nowoczesnej techniki, któremu los dał to szczęście, że nie chciał w imieniu Polski zginąć w tym tłumie, że wznosił ubogi, niewielki, mały domek żołnierza polskiego i nad nim postawił i wywiesił sztandar Polski. Dla żołnierza wojna to nie jest to, co dla pańów ubranych w tużurek—wojna dla żołnierza to kochanka. I tak, jak pierwsza miłość tkwi zawsze w pamięci dojrzałego mężczyzny, tak samo dla mnie, dla żołnierza wojna, którą przeżyłem razem z legionami, z brygadą, którą dowodziłem, jest tym pierwszym pocałunkiem, i to jest wszystko wspomnienie i ciężkie i piękne i te wszystkie wspomnie-

nia tak serce niewolą, a tak dużo z nich jest w Lublinie związanych, tak dużo z nich z Lublinem i z Ziemią Lubelską w nierozzerwalny węzeł się wiąże. Niech mi więc będzie wolno i w stosunku do Lublina tę serdeczność serca wyrazić, niech mi będzie wolno w imieniu własnem i tych biednych chłopaków, którymi dowodziłem, zatraconych, szukających drogi, nieraz zwątpiałych i zboliałych, wyrazić jeszcze raz, dziś, gdy wielkimi już jesteśmy, wyrazić w imieniu nas, maluczkich żołnierzy, głęboką i serdeczną wdzięczność. Umieście wtedy, panowie, gdy nas tutaj spotykaliście, wtedy, gdy nam ciężko było, umieście dać osłodę naszego życia, umieście z taktem, godnym serca polskiego podkreślić to, co w nas żyło, że byliśmy nie ztracającami, nie sługami, ale tymi, którzy bronią własnej Ojczyzny.

Proszę Panów! Przeżyliśmy tu ciężkie czasy — czasy okupacji, okupacji, która nam nieraz zwodnicze drogi i mosty ku sobie zbudowała, okupacji, która jeszcze nowy podział Polski urządziła, która do tych kilku działów dodała jeszcze jedno różne życie w Polsce.

Moi Panowie! Jednem z przekleństw naszego życia, jednem z przekleństw naszego budownictwa państwowego, to jest to, żeśmy się podzieliли na kilka rodzaj Polaków, że mówimy jednym polskim językiem, a inaczej nawet słowa polskie rozumiemy, żeśmy wychowali wśród siebie Polaków różnych gatunków, Polaków z trudnością się porozumiewających, Polaków tak przyzwyczajonych do życia według obcych szablonów, według obcych narzuconych sposobów życia i metod postępowania, żeśmy prawie je za swoje uznali, że wyrzec się ich z trudnością możemy. Sprawa zjednoczenia wszystkich dzielnic Polski nie jest zakończona, a zjednoczona Ojczyzna jest często jeszcze słowem, a nie tą realną rzeczywistością. Polska jeżeli chce być silną nie na uroczystościach, nie przy kielichu wina, lecz w codziennem słuchaniu ogólnych i zjednoczonych praw, Polska może być zjednoczoną i Polska może być jednością.

Szanowni Panowie! Jeżeli tą myślą, tym postulatem naszego życia was zajmuję i podkreślam pod tym względem przykład Lublina, to dlatego, że wagę tej wielkiej kwestji w Polsce znam i uznaję i również czerpię z niej powód dla uznania i wdzięczności dla ziemi Lubelskiej.

Proszę Panów! Przechodzę od ostatniej myśli, którą chciałem tu z panami poruszyć. Polska ma przed sobą wielką pracę. Mamy Orła Białego, szumiącego nad głowami, mamy tysiące powodów, którymi serca nasze cieszyć możemy. Lecz uderzmy się w piersi. Czy mamy dość wewnętrznej siły? Czy mamy dość tej potęgi ducha, czy mamy dość tej potęgi materialnej, aby wytrzymać jeszcze te próby, które nas czekają? Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie, czy ma być państwem równorzędnem z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych. Na to pytanie Polska jeszcze nie odpowiedziała. Ten egzamin z sił swoich zdać jeszcze musi. Czeką nas pod tym względem wielki wysiłek, jeżeli chcemy obrócić tak daleko koło historii, aby wielka Rzeczpospolita Polska była największą potęgą nie tylko wojenną, lecz także kulturalną na całym wschodzie.

Idzie o to, aby kraj zrozumiał, że swoboda nie jest kaprys, że swoboda to nie jest „mnie wszystko

wolno, a drugiemu nic”, że swoboda, jeżeli ma dać siłę musi jednoczyć, musi łączyć, to musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swoim się upierać.

Naczelnik Państwa, kończąc przemówienie, wznosił kielich na cześć miasta Lublina i Ziemi Lubelskiej.

MURMAŃCZYCY.

(C. d.)

Historja oddziału majora Horawskiego zaczyna się od dnia 25 lipca 1918 r.; w tym bowiem czasie znalazł się ten oddział w rejonie Onegi. Stąd posuwał się major Horawski stale w kierunku północnym. Chodziło mu bowiem o to, ażeby dotrzeć do Archangielska i tu połączyć się z armją angielską. Przedsięwzięcie to nie było tak łatwem, jakby się zdawało. Oddział bowiem był otoczony ze wszystkich stron przez stokrotnie przeważające siły bolszewików, z którymi trzeba było staczać ciągle utarczki, największa taka bitwa wypadła pod Czemowem.

Nareszcie po dziesięciodniowej tułaczce przybył oddział do Archangielska. Anglicy przyjęli majora Horawskiego z otwartymi rękami; za całą zaś dotychczasową działalność obdarzyli zarówno oficerów, jak i żołnierzy wspaniałymi dekoracjami i odznaczeniami. Oddział został teraz należycie umundurowany i wyekwipowany, a co najważniejsze należycie uzbrojony. Całe bowiem dotychczasowe uzbrojenie pochodziło tylko ze zdobyczy na bolszewikach. Po parodniowym pobycie w Archangielsku, koniecznym dla jakiejś takiej reorganizacji, zadyrgowało dowództwo angielskie oddział majora Horawskiego na front Sielecki, rozciągający się na wschód od kolei. Był to dla żołnierzy pewien zawód; wszyscy bowiem łudzili się nadzieją, że zostaną odesłani na Murman i tam połączą się z bratnim oddziałem. Ale rozkaz rozkazem i major Horawski powędrował na front sielecki. Tu wśród niesłychanie ciężkich warunków siedzieli nasi bohaterowie do września. Nie było to jednak bezczynne siedzenie. Ciągłe bowiem trzeba było staczać zacięte walki z bandami bolszewickimi, które wykazywały coraz to większą organizację, przemieniając się powoli na jednolitą, silną armję. Nareszcie we wrześniu, został major Horawski zluzowany przez oddziały Kolicji i mógł teraz przedsięwziąć wyprawę na Murman, celem połączenia się z tutejszym oddziałem, co też niebawem nastąpiło.

Drugi, z kolei oddział Dźwiński pracował razem z ochotnikami rosyjskimi na linii rzeki Dźwiny. W pierwszych dniach sierpnia 1918 r. mianowicie przybył ten oddział do Archangielska, gdzie wówczas jeszcze spokojnie siedzieli i panowali bolszewicy. Tu wykonali Polacy ogromnie śmiałe i ryzykowne przedsięwzięcie. Nie bacząc mianowicie na szczupłość swych sił, wywołali w mieście przewrót, rezultatem którego była paniczna ucieczka bolszewików oraz uwolnienie mieszkańców od terroru i ucisku, jakie stosowała tu czerwona armja na szeroką skalę. Po stronie oswojonych stanęła cała dzika dywizja rosyjska, która podjęła teraz wraz z polakami akcję zaczepną przeciw bolszewikom. Akcja ta pole-



gała na pościgu za bolszewikami w kierunku rzeki Dźwiny, oraz utrzymywaniu przeszło 200 wiorstowej przestrzeni frontu. Było to zadanie ogromnie trudne i skomplikowane. Front Dźwiński bowiem nie przedstawiał jednolitej, regularnej linii, lecz był to długi i szeroki pas, na którym toczyła się ustawiczna, ogromnie dla obu stron męcząca walka partyzancka. Mimo tych wszystkich trudności, wywiązał się oddział kapitana Sołdkowskiego świetnie ze swego zadania; bolszewików bił na każdym kroku, utrzymując zaś tak wybitnie długą linię frontu, oddawał anglikom w ogólnej akcji ogromne usługi. Umiało ocenić te usługi dowództwo angielskie i dlatego też, w dowód swego najwyższego uznania, rozdało oficerom i żołnierzom krzyże i medale zasługi; prócz tego otaczali anglicy oddział kapitana Sołdkowskiego zawsze jaknajczulszą opieką, dostarczając mu niezbędnego ekwipunku i uzbrojenia.

Praca oddziału Dźwińskiego trwała aż do 20 grudnia 1918 r. W czasie tym, na usilne prośby kapitana Sołdkowskiego wycofano jego oddział z nad Dźwiny i odesłano na odpoczynek do Archangielska. Nie o odpoczynek jednak chodziło kapitanowi Sołdkowskiemu, lecz o połączenie się z Murmańskim oddziałem, który właśnie konsystował wówczas w Archangielsku. W ten sposób za przybyciem kapitana Sołdkowskiego do Archangielska nastąpiło zdawna upragnione połączenie.

Trzeci wreszcie, najważniejszy i najstarszy oddział murmański formował się i organizował w Kole. W owej chwili wynosił oddział około 60 ludzi; składał się zaś z 2 kompanii: jednej strzelców i jednej karabinów maszynowych. Prócz tego były specjalne dwa plutony i jedna bateria złożone z samych oficerów, którzy w braku etatu, pełnili służbę szeregowców.

Działalność swą rozpoczęli Murmańczycy od ćwiczenia i szkolenia się w służbie wojskowej w Kole. W owej chwili w porozumieniu i pod egidą wojsk angielskich. Ćwiczenia trwały aż do początku września. W pierwszych dniach tego miesiąca wysłany został oddział pułkownika Machcewicza na front. Szczupła garstka, mająca przed sobą ogromną przewagę liczebną, wzięła tu na swoje barki nader ciężkie zadanie utrzymywania, a raczej wywalczenia długiej linii ciągłej

ruchomego frontu. Wszystkie rodzaje broni pracowały tu bez wytchnienia. Zwłaszcza artylerja oficerska pod wprawem dowództwem porucznika Święteckiego dokazywała tu wprost cudów. Rezultaty były wspaniałe: front został posunięty o blisko 100 wiorst naprzód; wodzowie koalicyjni chylili głowy przed walecznością i brawurą polskiego żołnierza.

Podobnie spisywał się ten oddział na froncie Oneskim, gdzie przebywał od połowy października aż do 16 grudnia 1918 r. Po ciężkiej wyczerpującej służbie ściągnięto nareszcie oddział pułkownika Machcewicza do Archangielska na odpoczynek. Tu nastąpiło ostateczne połączenie się wszystkich trzech oddziałów, a właściwie dwóch tylko, bo oddział Oneski już przedtem, został wcielony od oddziału Murmańskiego.

(C. d. n.)

Emjot.

Gdańsk i ujście Wisły.

(C. d.)

Z byłej Galicji otrzymał dotychczas Gdańsk na wywóz tylko pewną ilość nafty i wosku ziemnego.

Wzamian za powyższe produkty wysyłał Gdańsk do Kongresówki w czasach ostatnich, znaczne ilości nawozów sztucznych, a przede wszystkim superfosfatów (41 tys. ton) i tomatówki (106 tys. ton), dalej zaś maszyn i części maszyn (pochodzących z Anglii), mianowicie w tymże r. 1913 — 7691 ton. Z produktów żywności transportował Gdańsk do Kongresówki głównie śledzie i ryby — 12,366 ton, pozatem ryż — z górą 8 tys. ton i kawę — blisko 1 tys. ton.

Nie są to wszystko cyfry zbyt imponujące. Obrót handlowy b. Kongresówki z rynkiem wszechświatowym drogą na Gdańsk doprowadzony został skutkiem specjalnych przyczyn, do cyfr minimalnych.

Główną, bodaj najbardziej zasadniczą z tych przyczyn specjalnych, było dokonane przed stu z górą laty przez trzy państwa zaborcze, rozdarcie Polski na trzy części rozgraniczone między sobą najsurowszymi kordonami. Miasto portowe, odcięte od swych naturalnych podstaw, jakimi były dla niego tworzące natu-

ralną całość wszystkie ziemie polskie, musiało wiednąć i ubożeć. Nie pomogło tu nic, lub bardzo niewiele, wszelkie sztuczki, stosowane w ostatnich latach przez rząd pruski dla skaptowania sobie rozgoryczonej opinii mieszkańców i obywateli tego starego grodu ani ukończona w r. 1899 budowa wolnego portu przy samem ujściu Wisły do morza w t. zw. Nowym Porcie (Neufahrwasser), ani otwarcie w r. 1904 nowego portu t. zw. Cesarskiego (Kaiserhafen), ani założenie politechniki, pierwszej wogóle w tem mieście wyższej uczelni. Gdańsk nie mógł rozwijać się normalnie dla tego prostego powodu, że oderwany był i odgraniczony od tych ziem, z których w ciągu szeregu wieków od daty swego założenia czerpał wszystkie swoje prawdziwe soki żywotne.

Dopiero po ponownem wciągnięciu w orbitę wpływów i interesów polskich, odzyskać może znowu Gdańsk swoją wielką rolę światową, jako wolny grunt wielkiej i potężnej organizacji państwowej. Zyskać na tem może ogromnie samo miasto, ale jeszcze więcej zyskiwać będzie cała Polska, uwolniona od dotychczasowej dotkliwej i kosztownej zależności od sąsiednich Niemiec i innych państw sprowadzających wprost do swoich portów towary z najodleglejszych rynków, amerykańskich czy australijskich.

Wobec ogromnego podrożenia kosztów produkcji węgla, komunikacja wodna nabierze niewątpliwie w przyszłości większego jeszcze znaczenia. Port gdański ożywi się z pewnością ogromnie już w najbliższych czasach, a rola jego wzrastać będzie systematycznie w handlu światowym w miarę wykonywania na obszarach Rzeczypospolitej Polskiej niezbędnych robót w zakresie ulepszania i rozszerzania sieci dróg wodnych. Już dziś koła specjalistów omawiają i przygotowują program najpilniejszych prac w tej dziedzinie.

Będzie to program, obliczony na skalę bardzo rozległą, w tym bowiem szczególnie zakresie Polska ma bardzo dużo do zrobienia.

Budowa sieci dróg wodnych objąć będzie musiała przede wszystkim uregulowanie koryta Wisły na całej jej przestrzeni od źródeł aż do ujścia. Z kolei wypadnie obmyśleć i przeprowadzić cały szereg kanałów na terenie samego tylko dorzecza Wisły, a więc w pierwszym rzędzie takich kanałów, któreby najbliższą drogę wytknęły dla produktów i towarów z zagłębia śląskiego i łódzkiego ku morzu. Przekopane być muszą następnie kanały, łączące Wisłę z innymi rzekami polskimi, a więc z Odrą z Niemnem, Dnieprem i Dniestrem. Niektóre z nich już istnieją, ale nieraz, jak np. kanał Augustoski, w stanie zupełnego zaniedbania. Wobec ogromnego zwiększenia się wartości drzewa, w które dotychczas obfitują rozległe obszary np. Polesia, drogi wodne, najbardziej nadające się do wywozu tego produktu, zyskują specjalnie na znaczeniu. A klamrą, spinającą jaknajśilniej w jedną całość wszystkie polskie rzeki i drogi wodne, może być tylko dolna Wisła i Gdańsk.

Niemniej doniosłego znaczenia nabierze teraz jaknajlepsze połączenie Gdańska z głównymi ogniskami życia handlowego na ziemiach polskich za pomocą sieci kolei żelaznych. Polska stać się może wielką drogą tranzytową między Azją a Europą Zachodnią przy pomocy linii, łączącej bezpośrednio naddunajski Gałacz z Gdańskiem, skąd do Anglii droga już niedaleka.

(C. d. n.)

Edward Maliszewski.

PPOR. EUGENIUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

Blokhauz pod Syreną.

(Ciąg dalszy).

— Co za austriackie gadanie. Przychodzi komendant, a ty — żebyś nie myślał a słuchał. Jak to skapujesz tym swoim jenteligentnym łbem, to powiem, żeś nie rekrut, ale żołnierz całą gębą.

Należy zaznaczyć że „rekruty”, również jak ich sierżant byli wszyscy udekorowani najwyższym stopniem angielskiego „military medal”u nie mówiąc o „mentolach” austriackich, którymi się nie chwalo, bo uchodziło to za zły ton. Lecz Hurma miał swe własne pojęcie o wojskowości.

Teraz, gdy miny jego podkomendnych wyglądały poważniej niż zwykle, — odbijał od nich chłopskim humorem i tą podufałością w sobie, która cechuje starych żołnierzy. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pograżyli się w cichem rozręskaniu, — czynna natura Hurmy wyjawiała się w innym kierunku. Hurma rozumował: przychodzi Wigilja, to jest — Wi-

gilja i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma się odbyć pod biegunem, jak we wiosce w Pozańskim, jak u polskiego chłopca odbywało się od wieków.

Tedy zabrał się do rozładowania przywiezionych sań. Sam pracował, inteligentów poganiał. Rozkazy wygrzmiewał niby kapitan statku, mówiący z tuby żeglarskiej. A urządzenie blokhauzu do święta odprawował z taką powagą a godnością, jak conajmniej komendant flagmańskiego pancernika, rzucający ze swego pomostu krótkie zlecenia, w lot przez majtków wykonywane.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkanego pod improwizowany obrus włożyć siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego poszycia cudzej strzechy. Na odkrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawionych nóżkach rusztowania firmy Wickers & Co, niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnię jadowity pyszczyk lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się niby pięknie fryzowany pas, wstęga nabojów, błyszcząca niklem i mosiądzem.

Wilja na froncie.

Dzień 24 Grudnia był obchodzony na froncie wołyńskim z całą przykładnością pod względem zachowania tradycji polskiej.

Głównie dotyczyć będzie nasz opis wilji w Szepetówce, gdzie się znajduje Dowództwo Dywizji, składającej się z żołnierzy przybyłych z Ameryki, którzy jako wierni synowie Ojczyzny wstąpili do polskiej armji, aby pośpieszyć do Polski i uwolnić ją od przemocy wrogów.

Przygotowania do wilji były czynione pod kierownictwem kapelana i proboszcza tejże dywizji ks. Jaworskiego. Oto w trzech budynkach: Gospodzie polskiej i w dwóch gospodach Białego Krzyża jednej w mieście i w drugiej przy stacji kolejowej poustawiano z tradycyjnem przykryciem i sianem długie stoły, przy których miała zasiąść liczna wiara żołnierska. Ściany udekorowano girlandami z gałązek świerkowych. Pozawieszano też portrety: Naczelnika Państwa, generała Hallera, Kościuszki, które otoczone były chorągiewkami o barwach narodowych. W każdej z tych gospód umieszczona była choinka. Wybrano do tego w lesie najpiękniejsze świerki, które po przystrojeniu ich dekoracjami jaknajbardziej okazałe uroczyście i imponująco wyglądały. Dzień wypadł nad wyraz cichy, zupełnie niemroźny. Niebo było zasklepione chmurami i śnieg przelatywał chwilami gęściej, chwilami zupełnie ustawał. Idąc za wzorem tradycji żołnierze odpowiednio się przystroili.

Wybiła godzina 8. Potok światła od lampek elektrycznych rozjaśnił okna. Z tą chwilą zaczęły napływać fale żołnierzy, którzy we wzorowym porządku, kolejno zasiadali kompanjami przy swoich stołach i ze swo-

imi oficerami. Wygląd żołnierskiej wiary sprawiał znakomite wrażenie, budził prawdziwy zachwyt. Każdy z nich pisząc historję Polski swoją krwią — zasługiwał na najwyższą wdzięczność.

Gdy po wymownych słowach generała, a także ks. Kapelana — zabrzmiało: Ku chwale Ojczyzny! — poczem orkiestra, składająca się z miejscowej inteligencji polskiej, rozmieszczona przy choince — wykonała mazurek Dąbrowskiego, gdy w końcu zaczęło się łamać opłatkiem — prąd najwyższej serdeczności, zespalającej wszystkich jak jedną rodzinę, owionął serca żołnierzy. Dla każdego z uczestników — jasność tej chwili pozostanie niezatartą w pamięci na całe życie. Bo na tej ziemi wołyńskiej, gdzie oto stanęła armja polska, która urosła w siłę wielką, niezmożoną, będzie to tak samo jasną chwilą po tem, co tu było: kiedy hordy bolszewickiej dziczy i inne bandy przecinały wszelki puls życia, a w szczególności pastwiły się i wytępiały ludność polską.

Po skończonej kolacji, podczas której śpiewano kolendy i orkiestra przygrywała podnosząc w sposób niezwykle nastrój — pośpieszono do miejscowego kościołka na pasterkę.

Ołtarz i ściany w nim ozdobione zostały szeregiem strzelistych świerków. Oto warta w bojowym rynsztunku otoczyła półkolem ołtarz. Na rozkaz — prezentuje broń. Chwila — i błysk bagnietów w świetle jarzających się świec! Potem z chóru odgłos trąb przesywa powietrze mocnem uderzeniem fanfar i msza się zaczyna. Chór żołnierski z całą prostotą wykonuje kilka razy: W żłobie leży, ktoż pobieży. Wzniesienie — i znowu prezentuj broń! Wiara żołnierska stoi niewzruszona, groźna. W wyrazie twarzy każdego żołnierza, twarzy owianej ogniem bitw i podmuchem

Po dokonaniu urządzeń Hurma zlustrował rzecz jednym rzutem oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się ręką w czoło uderzył. Poszedł do wioski, poleciewszy na odchodem, aby czekano go z wieczerzą, a on „przed pierwszą gwiazdą“ wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczołowicie pod pachą coś zawiniętego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstąp się, kiej sierżant idzie! — upomniął malarza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia, co do gam fioleto, który wieczorem zakwitł na śniegu długimi strugami, niby grządkki astrów barwy lila.

Hurma przystąpiwszy do stołu jął odwijać owo coś. Oczom zaciekawionych żołnierzy ukazał się omśzały starością obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rize“ w stylu bizantyjskiego prawosławia. Lecz podwójna bliźna wymalowana na Jej obliczu świadczyła o przynależności do innego kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczków — pojasnił Hurma. Gadają, że święty jakiś obraz i cuda rozliczne skazował. Hale! jeszczeby cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska!

— Pan sierżant, widzę — chce w blokhauzie mieć kaplicę, gdziebyśmy, godzinki przez nos śpiewali —

ozwał się z przekąsem malarz od syreny, którego dotknęło owo „rozstąp się“.

— Nie wiesz zgola co gadasz, panie malijarz — odrzekł Hurma: Otybś świętych malował, zamiast smarować po ścianach te golaski, na które janglik zęby szczyrzy i poślinia się, a grzeszny katolik, gdy je wirzy, to drepta w miejscu, jak cietrzew w załotach.

— To się rozumie dodał że jutro obraz odniosę bobyście go strefnili waszem tureckiem gadaniem. Ale wy, rekruty, nie wicie tego, co wim ja. Bom choćta w akademijach waszych nie uczony, ale swoje pomiarkowanie mam. Jeszcze kiej się uczyłem na książce w szkole — we Wrześni — (ojcowizna tam moja), tom się dowiedział, że dawnym czasem polskie wojsko na swoich chorągwiach miało obraz Częstochowskiej. I przez to samo tłukło szwabów na potęgę. I nie dziw. Nasza Maryja wojenna to Pani. Popatrz jeden z drugim: po twarzy szabla je pocięta, jak gemajny, co się do trenu w czas formarszu nie chował. Czy wam opowiadałem, jagem ze szwabskiego regimentu, wiał do tych bagien przez matuszkę Rosję?

— Opowiadał pan sierżant, opowiadał! — w jednomyślnym pośpiechu zawołali inteligenci.

c. d. n.

wiatru stepowego, taka siła, hart i wola się przebija, że patrząc na to, serce rośnie.

Msza się kończy. Po odśpiewaniu: Boże coś Polskę — wychodzimy, lecz jakże radośnie bije serce na widomą moc duszy żołnierskiej!

J. H. M.

Szepetówka 1.1.20 r.

EUGENIUSZ KORWIN MAŁACZEWSKI.

Mogiłom

archangielskim i murmańskim.

Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą,
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.

Gdzie ziemię opuszczoną
mróz lśniąca pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
śnież towarzysze broni.

O Polskę, od zbóż złotą,
walczyli pod biegunem,
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.

Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi,
jedynie brzozy płaczą.

Miast mów — trzykrotna salwa
rozległa się echami
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.

Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.

Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczystej ziemi,
z oddali rzucę na nich
dłoniąmi tęskniącymi.

By duszą zmartwychwstali,
rozpieli skrzydła cudnie
i poszli, płacząc z szczęścia,
z północy na południe.

Listy do „Żołnierza Polskiego“.

Wołkowysk, 22. XII. 1919 r.

Kochani Koledzy!

Miło mi bardzo jest napisać choć parę słów do was o naszym życiu w Wołkowysku, ale nie wiem czy ten list będzie umieszczony. Zebrałem się na odwagę i piszę i niech mi kłędzą przebeczą, jeżeli bę-

dzie co napisane tak jak nie powinno być. Niejeden chyba z was może zna to miasteczko Wołkowysk i wie jakie panują tu nudy i nudy bez skończoności. Nasz 3 baon 1 P. A. P. L. B. obrał sobie tutaj miejsce postoju w tutejszych koszarach i barakach. Czekam z utęsknieniem tej chwili kiedy wyruszymy na front. Żeby nie niedziela, to niewiem jak człowiek by tutaj żył. Co niedziela cały garnizon zbiera się o godz. 9 rano na mszę w kościele garnizonowym. Po kościele gdy wracamy do koszar, zwykle śpiewamy wojskowe piosenki, które podobają się cywilom, gdyż całe gromady snują się za nami. Są to przeważnie panienki, których tutaj daje się odczuć brak, bo są przeważnie czubaryki, one mile uśmiechają się do nas i patrzą z zazdrością z czego jesteśmy zadowoleni. W niedzielę też czytamy gazety i książki a nawet naszego ukochanego „Żołnierza Polskiego“. Co to za radość była gdy poraz pierwszy dostał się do nas jeden jedyny egzemplarz, którego przytaszczył jeden z naszych kolegów, ale skąd on go wziął to do tych pór się jeszcze nie dowiedziałem.

Od tej pory dowództwo nasze zaprenumerowało go, i przychodzi co tydzień i jest rozdawany pomiędzy nas. Ale całe nieszczęście, że nie wszyscy umieją czytać. Dużo jest analfabetów, lecz z biegiem czasu i przy dobrej chęci to się zmieni, dzięki niestrudzonej pracy referentów oświatowych baterji, w szczególności kapit. Leszkiewiczowi, naszemu ukochanemu dowódcy, który dba o nas, jak o własnych synów.

Uniwersytet żołnierski zajmuje dużą piękną salę, przyozdobioną z gustem w rozmaite potrety naszych dzielnych wodzów polskich, w których pierwsze miejsce zajmuje naczelny wódz Piłsudski.

Nawet nie przeczuwaliśmy, iż będzie tu sala wyznaczona na pomieszczenie żołnierzy podczas wieczorny wygibnej całego garnizonu. Nasz p. kpt. Leszkiewicz tem się zajął razem z paniami z Koła Polek. I w ślad zatem idą gorączkowe przygotowania a każdy z nas jest ciekaw jak będzie ubrana sala i jak odbędzie się wieczera. Ale to zostawię na później bo jeszcze zawczasie, a po drugie pora już mi iść spać.

Cześć!

bomb. Koczka P.

* * *

Wigilia i gwiazdka żołnierza polskiego w Chodorowie.

Chodów 30.XII 1919 r.

Dzięki staraniom obywateli Polaków miasta Chodorowa w Małopolsce, odbyła się w sali Sokoła 25-go grudnia w dzień Bożego Narodzenia wigilia i gwiazdka dla żołnierzy polskich całego garnizonu Chodorowskiego. Brali w niej udział żołnierze i oficerowie z Baonu Wartow. 4/IV, oraz żołnierze i oficerowie z zapasu koni. Uroczystość ta odbyła się wzpamięta i w jak największym porządku. Po przemowie jednego z panów komitetu i pułkownika Łączyńskiego rozpoczęła się uczta żołnierska. Panie i panowie komitetu rozdali posiłek pomiędzy żołnierzy, którzy zasiedli do stołów rozstawionych na środku sali sokołnej. Po posiłku rozdawano podarunki. Następnie wznoszono wiwaty i toasty na cześć Ojczyzny wyzwolonej, na cześć Naczelnika Państwa, na cześć Obywateli Chodorowa,

oraz podpułkownika Brzezińskiego, dowódcy Baonu Wart. 4/IV. Później odbyły się Jasełka zorganizowane za staraniem się pana Feliksa Dzieciolowskiego, kier. szkoły, nauczyciela muzyki i śpiewu we wsi Zagóreczki, który przy swej pracy niestrudzonej, potrafił z młodzieży wiejskiej zorganizować muzykę i chór. Jest to człowiek, który rzeczywiście zasługuje na szacunek i poważanie w całej pełni ponieważ kształcą młodzież wiejską pod każdym względem przysługując się Ojczyźnie i społeczeństwu. Po Jasełkach salę uprzątnięto, a wtenczas przy dźwiękach muzyki zaczęły się tańce i bawiła się młodzież aż do rana.

Wszyscy żołnierze wyrażają gorące podziękowania tym obywatelom i obywatelkom, którzy nie szczędzili starań i kosztów by tylko uprzyjemnić żołnierzowi chwilę tę którą w przeciwnym razie musiał spędzić smutnie zdala od swego domu i od swej rodziny.

Więc głęboko utkwii w pamięci żołnierza to, że ktoś jeszcze o nim pamięta, stara się oń, nie pozwoli na to, że my żołnierze, którzy mamy taki ważny i ciężki obowiązek względem Ojczyzny i społeczeństwa, byśmy wówczas gdy cały świat chrześcijański na pamiątkę Narodzenia Chrystusa, weseli się, mieli być ostatnimi pozbawionymi wszystkiego tego co by właśnie te ważną i świętą chwilę nam przypominało.

Józef Sas Baczyński Baonu Wart. 4/IV.

Do dzisiejszego numeru dołączamy pierwszy numer dodatku powieściowego „Żołnierza Polskiego“.

KRONIKA.

Położenie bojowe. Front Litewsko-Białoruski. Bolszewicy atakowali w dalszym ciągu nasze pozycje między Dubną a Dźwiną, po kilkugodzinnej zacieklej walce atak odparto na całym froncie. Bolszewicy ścigani przez nas wycofali się za linię jeziora Dryssy. Wzięto wielu jeńców i zdobycz.

Po zaciętej walce oddziały nasze zajęły st. Ruszony na linii kolejowej Dynaburg — Psków. W skutek jednoczesnego odciążenia tej linii przez atak łotewski na północ od nas, położenie wojsk bolszewickich w obszarze Dynaburga stało się bardzo trudne.

Na północ od Dźwiny wojsko grupy gen. Rydza-Śmigłego posunęło się na wschód zajmując wieś Kalki, Szkieletowo i szereg mniejszych miejscowości, położonych na tej linii. Atak na wieś Podkozielce odparto. — Na południe od Prypeci oddział partyzancki przy współudziale naszego patrolu rozbił na wschód od Sławeczna batalion wywiadowczy bolszewicki a następnie zajął przejściowo stację i miasto Owruć biorąc dużą zdobycz i jeńców. W wyprawie tej odznaczył się ppor. Studziński 22 p.p. Front Wolyński. Sytuacja bez zmiany.

Objęcie ziem odzyskanych. Obsadzenie Terytorjów Odzyskanych w Prusach Zachodnich i Wschodnich, w Poznańskiem i na Śląsku przez wojska polskie rozpoczęło się o godzinie 6 zrana dnia 17 stycznia. Wojska niemieckie ustępować będą w ten sposób, aby się nie stykać z wojskami polskimi, skutkiem czego powstawać będą pewne krótkie luki pomiędzy odejściem wojsk niemieckich a wejściem wojsk polskich. W każdym razie luki te nie będą obejmowały pory nocnej, to znaczy, że wojska niemieckie ustępować będą zrana, a wojska polskie zastępować je będą w ciągu tego samego dnia.

Obsadzenie przyznanych Polsce części Poznańskiego i Śląska nastąpi w ciągu trzech dni. Obsadzanie terytorjów

oboja Prus zajmie dni dziewiętnaście. Toruń będzie oddany dnia 18 b. m. w południe. Nazajutrz oddana będzie stacja Schöensee, dnia 21 b. m. będą oddane stacje Culmsee i Kurnatowo. Dnia 20 b. m. oddane będzie Forden. Dnia 24 b. m. przesunięcie wojsk stosownie do umowy nie będzie. Dnia 25 b. m. wojska nasze przekroczą Wisłę pod Grudziądem i Chełmem (Culm) o godzinie 6 zrana. Chełm będzie zajęty już 22 b. m., Grudziądz w dniu 23 b. m. Wejście do Pucka i obsadzenie brzegu morskiego nastąpi 5 lutego.

W przerwach pomiędzy wyjściem wojsk niemieckich a wejściem wojsk polskich ochronę własności i porządku obejmą miejscowe władze cywilne przy pomocy uzbrojonej Straży Obywatelskiej i policji pomocniczej. Listę osób wchodzących do Straży względnie policji układać będzie landrat wraz z polskim mężem zaufania i oni będą podpisywali odnośne legitymacje. Członkowie Straży wzgl. policji nosić będą białe przepaski z napisem w polskim i niemieckim językach, jednak bez odznak narodowych.

Dowódcą wojsk, mających okupować Pomorze Polskie, został mianowany gen. Józef Haller. Dowódcami poszczególnych grup okupacyjnych są: gen. Pruszyński, gen. Gąsieniec, pułk. Skrzyński, pułk. Suszyński. Szefem sztabu gen. Hallera mianowany został pułk. Niemiecki, komisarzem zaś cywilnym przy sztabie pan Führlm. Szefem misji wojskowej polskiej w Gdańsku jest pan Borowski.

Plan samej okupacji zostanie zatwierdzony przez marszałka Focha dowódcy wszystkich sił okupacyjnych na terenie byłego cesarstwa niemieckiego.

Refleksje Focha. „Echo de Paris“ zamieszcza artykuł o marszałku Fochu, który o swym zwycięstwie powiedział między innymi: Jak wygrałem wojnę? Pałac mą fajkę, t. j. nie przejmując się niczem. Wszelkich wzruszeń i wszelkiego przejmowania należało unikać i wystrzegać się. Możliwe, że zadanie to było trudne, gdyż wojna nasza była niezwykła. Była to bitwa rządów. Przeciwko francuskiej demokracji a zwłaszcza przeciw naszemu głębokiemu poczuciu narodowemu stanął cesarz, człowiek, który był może inteligentny, megaloman, który zapalał się łatwo i tem samem nie potrafił właściwie ocenić swych czynów. Niemcy miały co prawda wspierać armię i pierwszorzędnych dowódców, ale brakło im Moltkego. Nie popełniłby on tej nieroztropności, aby wywoływać wojnę, bez próby zneutralizowania Rosji. Gdyby mimo to musiałby pigułkę tę połknąć, to daje na to słowo, iż prowadziłby wojnę inaczej. Pociąg pociąg został powieszony pocztarkowi. Musieliśmy zwyciężyć. Nad Marną zostałem pobity, ale powiedziałem sobie, cztery dni, pięć dni będę bity, jeżeli tego potrzeba, ale nie przestanę istnieć. Marszałek Foch dodał, że obserwując Niemców w Metz od swego 17 roku życia, myślał o odwecie.

Wilhelm chce się przenieść do ojczyzny peruwiańskiego oleju. Amerykańska Agencja telegraficzna donosi z Limy, stolicy Peru w południowej Ameryce, że przybył tam wysłannik b. cesarza Wilhelma i odbył konferencję z prezydentem peruwiańskiej republiki co do ewentualnego osiedlenia się Wilhelma w Peru. Były cesarz miałby zakupić wielkie przestrzenie w kraju i zaprowadzić tam wielkie gospodarstwo farmowe.

Będzie to zajęcie dla złego ducha Europy bardzo odpowiednie. Peru znane jest z hodowli bydła, które stanowiąć będzie o wiele odpowiedniejszych dla jego cesarskiej mości poddanych, aniżeli ludzie. Z drugiej strony pobyt ten może być dla Wilhelma niebezpieczny, Peru bowiem znane jest z wonnego oleju, który ma właściwość, że zabija pasorzyty powodujące parchy czyli świerzbę, a cesarz Wilhelm był ciężkim świerzbem na ciele ludzkości...

Jak Czesi szkodzą naszej walucie? Praskie „Nar. Listy“ zamieściły onegdaj sfingowany telegram, że państwo polskie posiada tylko... 176 miliardów marek długów. Rząd warszawski urzędując napiętnował kłamstwo czeskie, którego cel jest jasny, aby go przejrzeć, równocześnie jednak to pismo doniosło, że rzekomo Czesi skradli zapasy złota rządowi Kołczaka na Syberji... Metoda czeska polega więc na tem, że kłamstwami chcą szkodzić walucie obcej, a pomagać swojej. Jest jednak wątpliwem, czy bajka o kradzieży złota przez Czechów na Syberji pomoże walucie czeskiej, a zaszkodzi naszej!

Baczność przed kuźniami czeskich kłamstw plebiscytowych!

Pocztą „Żołnierza Polskiego“.

Szanowna Redakcjo.

W dniu 28 maja 1919 r. w bitwie pod Słobudką (Front Litewsko-Białoruski) poległ bohaterską śmiercią ś. p. **Antoni Kowalczyk**, szeregowiec 6 pułku piechoty 2 komp. Legjonów Polskich, osierocając żonę Julannę z Ciązków i 2 dzieci.

Ponieważ stan jej ubóstwa zasługuje na wspomnienie ogółu, przeto przesyłam za pośrednictwem Redakcji dla niej marek dziesięć, ufny, że i inni czytelnicy „Żołnierza Polskiego“ nie omieszkają także ofiar swych dla biednej Kowalczykowej złożyć.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Paweł Wiechowicz.

Osada Cegłów 13.I. 1920 r.

Adres Julanny Kowalczykowej: wieś Mienia, gmina Cegłów, poczta Mińsk-Mazowiecki, ziemia Warszawska.

Wiżajny, dnia 13.XII. 1919 r.

Pozdrowienia wszystkim oficerom i żołnierzom którzy byli aresztowani w Niżnim-Nowgorodzie, przez bolszewików, jadąc na Murmam, zasyła za pośrednictwem „Żołnierza Polskiego“, sierżant sztabowy 41 Suw. p. p. **Bechcicki Jan**

Kapralowi Edmundowi Prokopskiemu: wasz brat Kazimierz służy w 28 p. strz. Kaniowskich, pluton telefoniczny Poczta polowa Nr. 35. **Mieczysław** w 29 p. (bez dokładnego adresu). Wiadomość tę posiadamy od **Józefa Grabowskiego** 10 Dywizja. 28 p. strz. Kan. I baon, 1 K. K. M. Poczta pol. 35.

Ktoby wiedział gdzie przebywa obecnie porucznik **Wiktor Murat**, który służył w armji gen. Hallera i ostatnio przebywał przy dostawie amunicji w Paryżu. Adres mój: Eug. Trupus I L. B. D. Miński pułk strzelców I baon I komp. Poczta polowa 29.

Feliks Kuśgawka lat 32, piekarz 13 piekarni polowej armji rosyjskiej w 1915 roku dostał się do niewoli austriackiej, w 1916 r. wstąpił do wojska polskiego. Ktoby miał o nim jakiegokolwiek wiadomości uprasza się o dostarczenie ich do Redakcji „Żołnierza Polskiego“ Wierzbowa 9 w Warszawie, dla przesłania **Stefani Wachowicz** wieś Neple, poczta Terespol, ziemia Siedlecka.

Jan Romański Warszawa ul. Szopena Nr. 2 powrócił z Kiszlowodka i Jalty i poszukuje **Stefana Gomoninka**, który służył w 4 dyw. wojska polskiego w Odesie, a która zmieniona została na 10-tą. Uprasza się o przeczytanie Gomoninkowi tego ogłoszenia, ponieważ czyta on tylko po rosyjsku.

Zajączkowski poszukuje brata swego **Stefana** żołnierza 119 p.p. armji rosyjskiej, który ranny w pierś dostał się do niewoli austriackiej na Węgry do Csurogu.

OFIARY.

9 komp. Lidzkiego pułku strzel. złożyła 525 mk. jako jednodniowy żołd na dar dla Naczelnika Państwa.

Na Dar Narodowy w myśl odezwy szer. Kopyckiego ogłoszonej w Nr. 64 „Żołnierza Polskiego“ zebrano następujące ofiary:

Oficerowie, podoficerowie i żołnierze 2 baterji 1 dwizjo- nu art. konnej.	1.174 mk. —
Powiatowa Komenda Uzupeł. 5 p.p. Leg.	155 mk. —
Oficerowie i żołnierze 1 komp. 30 p.p.	1.105 mk. 50 f.
12 pułk art. pol.	250 mk. —
Razem	2.684 mk. 50 f.

Otrzymane datki złożyliśmy w Krajowej Kasie Pożyczkowej Nr. czeku A 01450.

Cześć wam, żołnierze pamiętający o potrzebach Ojczyzny.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

(Na listy niepodpisane redakcja nie odpowiada).

Bom. T. Bajewski na kursa uzupełniające przy D. O. G. mogą się dostać tylko służący w garnizonie Warszawskim.

Gocha P. 3 dyw. Strz. Wielkopolskich. Wierszów nie umieścimy z braku miejsca. Prosimy o list z frontu.

Sierz. J. K. M. Maciej 19 p. p. „Ods. Lw.“ w polu. Czekamy dalszego ciągu historii pułku. Trzeba przekonywać ludzi, by pisywali do „Żołnierza Polskiego“ jako do swego własnego pisma. List drukujemy.

S. L. W. 43 p. Strz. Kres. w polu. Dziękujemy za list. Posądzenie, że będziemy gniewali się na Was za niewprawne pisanie krzywdzi nas niesprawiedliwie, bo niema większej dla nas radości jak właśnie takie zaufanie, z jakim Wy się do nas z wracacie. Że jesteście samoukiem wam nie ubliża, na odwrót jest waszą chlubą, że w ciężkich kolejach życia zdobyliście sami tyle umiejętności, ile macie. Pamiętajcie o nas. Pisujcie często.

Podch. Zaremba, 24 p. p. w polu. Wspomnienie o ś. p. kap. Ogrodniku umieścimy. Książki naszej biblioteki już wysłane.

Plut. telef. M. B. w polu. Umieścimy.

K. Szyn. Miński p. strz. w polu. Umieścimy; napiszcie jeszcze.

Wielebny ks. Kapelan Łęga w Mławie. Serdecznie dziękujemy. O liście, o którym ks. kapelan wspomina, nic nam nie wiadomo. Prosimy o pamięć.

Arn. Doroż, w War. Wiersze nadesłane świadczą o pewnych zdolnościach. Trzeba jednak dużo pracować, jeśli te próby nie mają nazawsze pozostać próbami. We wszystkich wierszach zawiele jest mówienia, słów — zamało poetyckiej treści. Najlepszą jest „Pieśń rozłąki“, w której wzrusza niesfałszowany sentyment. Radzimy dużo i z wyborem czytać. Napiszcie list o tem, jak wiedzie się Wam w wojsku.

Szer. K. Łyczakowi 30 p. p. w polu. Umieścimy. Pisujcie częściej.

Pismo wychodzi w każdą środę i sobotę.

Prenumerata miesięczna 2 mk., za przesyłkę pocztową dolicza się 30 fen. Cena numeru 25 fen. Prenumeratę przyjmuje Administracja pisma oraz wszelkie biura dzienników i Dowództwa wojskowe w Polsce.

Pismo redaguje komitet redakcyjny. Adres redakcji i administracji: Warszawa — Wierzbowa Nr. 9, II p.

Drukarnia „Żołnierza Polskiego“, Długa 50

Dodatek powieściowy „Żołnierza Polskiego”.

Nr. 1.

16 stycznia 1920.

JULJUSZ KADEN - BANDROWSKI

PODPUŁK. LIS-KULA.

Szczęście dziś chodzi pokojami ojczyzsty Domu, chociaż ten dom wstrząśnięty jest, złupiony i obdarty. Radość nam towarzyszy na wszystkich drogach, w zachodach naszych wszystkich i zabiegach. Radość tak lekka, czysta, jak lekkie jest powietrze wesołej wiosny. I wszędzie dokąd byśmy szli, biegli, gdziebyśmy się kwapili,—idziemy ku lepszemu... Czy to, gdy nas troska obłoczy, czy gdy nas mocny żal dosięgnie, czy gdy pośpiechy nas opadną tak skore, iż oddechem i staraniem nadążyć im, zda się, nie możemy, — to wszakże zawsze już teraz i te starania, i pośpiechy, i kłopoty mniejsze są, lżejsze, a ciągle radośniejsze od tych, które do niedawna wzruszały i trapiły pierś Polaka...

Bo stała się jedna rzecz największa! Gdy do niedawna każdy z nas jeno skały i zawroty niewoli koło siebie miał,—to teraz cudnym błonem wolności radośnie sobie oddycha... Gdy do niedawna mitręga się tu mnożyła i musieliśmy być, jak drewna darmo leżące, albo też musieliśmy się łamać z twardą nauką niewoli,—to teraz każdy swe koła toczyć może wartko, ku coraz szerszym zasługom...

Bo stała się rzecz największa pośród wielkich, mianowicie,—żeśmy wolność odzyskali! Przynieśli nam ją świat skrwawiony, strasznym gniewem wojny przedarty i zasię znów ku lepszej doli naszej wyrównany. Ale przynieśli ją także ci, co światu temu, po wielokroć wzburzonemu, kroków dotrzymywali, pomimo wszelkie przeszkody, zakazy i zawady pod nogi ciskane raz po raz.

Przynieśli ją nam lekkiem z boju i z trudu rękami, żołnierze nasi. Zaś wśród żołnierzy,—jak to przyznać każe i zawsze przyzna prostota wojennego serca,—pierwsi są ci, w których ręku najspieszniej

oręż zawarczał. Ci, którzy pierwsi ziemię ojczyzstą skropili swą krwią.

Pamiętać ich należy, jak się w rozwoju wiosny pamięta pierwsze jej dni, jak się w dostatkach lata pamięta pierwsze gromy wiosenne. Choć one groźnie huczą, niczem innym przecie nie są, tylko pełnym głosem lepszej przyszłości i nadziei.

Pamiętać tych żołnierzy trzeba nie dlatego, że im się należy wdzięczność i podziękowanie wszelakie. Nie czas bowiem w pośród bojów na hołdy. Ale dlatego, że z ich pracy i czynów bystra wystrzela nauka,

oraz wszelkie możliwe ulepszenie naszych kroków i działań. I że wynika dla nas z ich pracy radość niezmierna... Radość z tego, że byli, że są wśród nas wielcy i tędzy żołnierze!

Tedy wśród pierwszych, wielkich żołnierzy, nikt mi nie zaprzeczy gdy powiem, iż najpierwszym był świętej pamięci podpułkownik Lis-Kula.

Jak się to stało, iż chłopaczek ten stanął na najświetniejszym miejscu pomiędzy wybranymi, jak się stało i kiedy, że posiadał wszystkie cnoty trudnej walki i nieustraszonego wytrwania... I wszystkie rozumy, i wszelkie podstępny, i tak

głęboką wiedzę milczenia, i tak straszliwy rozmach ciosu... I taką niewyczerpaną siłę wiary, i tak cudowną cnotę wierności,—tego nikt nie wie, ani wiedzieć nigdy nie będzie... Nie można inaczej rzec, jak tylko, że cnota sobie w tym chłopaczku gniazdo uwiła najlepsze i że krótkie, a śliczne życie tego żołnierza popłynęło przez losy Ojczyzny, jak jasna woda leje się po ziemi,—szeroko i żywie.

Pochodzenie, warunki, w których się wychowywał były proste i zwykłe, jak każdego z nas. Może nawet mniej dobre, może nawet trudniejsze, bo w nie-



Ś. p. podpułkownik Lis-Kula

ur. w 1896 w Kosinie, koło Rzeszowa w Małopolsce, poległ
w r. 1919 w bitwie pod Tarczynem na Wołyniu.

małym ubóstwie i w małoznacznych okolicach przeszło mu całe dzieciństwo.

Szczęśliwy jestem, iż o tych czasach bohater-skiego podpułkownika mówić nie potrzebuję sam, a poradzić się mogę kochanych, prostych słów jego matki.

„Po stracie mego najukochańszego syna, — pisze matka, — chciałabym wam podać szczególny talent jego wojskowości. Będąc jeszcze dzieciną, kiedy mu dziadek Czajkowski (to jest mój ojciec) dawał kropidło i szablę, najchętniej dziecina chwyciła za szablę. Kiedym go myła zimną wodą, to z lękiem dziecinem przyznawał, że jak będzie żołnierzem, nie będzie się zimnej wody bał. Zabawki jego zawsze wojskowe, zawsze komendantem między swoimi pięciu braćmi, a chociaż wszyscy tak są wielcy wzrostem, on ich zawsze przewyższał we wszystkim i do zadziwienia słuchali go. Poczawszy naukę w szóstym roku życia, był zawsze chwalebny w nauce i obyczajach. Zamiłowanie jego wiedzy historycznej było ogromne, do jedzenia nie można go było oderwać od książek, a już rozszarpanie Polski nie było mu obojętnem. Głęboki wzrok dużych niebieskich oczu za niego odpowiadał i widziało się, że jak dorośnie, to złe wytepi, a wszystko dobre zaprowadzi“.

Leopold Kula urodził się w roku 1896, w Kosinie, między Łańcutem a Rzeszowem. Ojciec jego, Tomasz, był podurzędnikiem kolejowym i jako taki pracował na stacji. Matka, Czajkowska z domu, z rodziny tego emira Czajkowskiego, który ongiś formował legjony... Z tych Czajkowskich, którzy, jak pisze sama — „dobra swoje opuszczali, tracili, a pracowali w sprawie Polski“. Zapewne, że wspomnienia tych zasłużonych dziadów i ojców dźwięczyć musiały w dzieciństwie podpułkownika; ale ileż, ileż razy ten dźwięk zgłuszony być musiał codzienną troską o byt ubogiej rodziny...

Kto znał życie galicyjskie, ujęte w kluby austriackich rządów, ten wie, jak życie to zamknięte było i uciśnione. Przez wszystkie stopnie galicyjskiego bytowania piętrzyła się wysoko, aż pod nudny majestat cesarsko-królewski, sucha i gładka od tysięcy rąk, które się stopni jej czepiały, drabinka, — a na każdym jej stopniu trudził się Polak ubogi, kopiąc niecierpliwie w dół i tęsknie do góry wyciągając ręce.

Jakże olbrzymi ciężar gwiazdek i złotych kołnierzy musiał być tłoczyć najskromniejsze poruszenia podurzędnika, liczną obciążoną rodziną... I cóż tej rodzinie było wolno więcej wiedzieć o świecie, niż to, co się znajduje między jedną zwrotnicą stacyjki Kosin, a drugą?...

W Kosinie uczęszczał więc malutki Poldziu Kula do szkoły normalnej.

W takiej szkole normalnej uczył się ówczesny Polak czytać, pisać, rachować, a gdy miał osiem lat musiał umieć po niemiecku — „ich bin jung, du bist stark, er ist gesund“. A gdy miał lat dziewięć, z fularową krawatką na popisie całe „Boże wspieraj“ aż do ostatniej zwrotki, — „Przy cesarzu mile włada cesarzowa szczęścia kwiat“.

Gdy dzieci już podrosły, przeniosła się rodzina Kulów do Rzeszowa. Tu zaczął Poldziu chodzić do

gimnazjum, które również sporządzone było, jak wszędzie w Galicji... To znaczy w ten sposób, aby młodzi chłopcy mogli z niego wyjść gładziutko, jak weszli, do uniwersytetu, a stamtąd na urzędników, a stamtąd gładziutko na adjunktów i aby się stali c. k. radcami, i aby w końcu gładziutko poszli na pensję.

„Już od piątej gimnazjalnej prowadził wszystko poważnie, — pisze matka podpułkownika. — Każde jego słowo, takie było stałe, że żaden kolega nie miał odwagi jego zdania lekceważyć. Owszem, kochali go i słuchali wszyscy, a sam, dwa lata przed wojną, chwili nie tracąc, robił nocne ćwiczenia, obiegał okolicę, zachęcał młodzież. Z rana przyszedł obłożony, czyścił się, i do klasy, po południu nauki, lekcje i znów na noc ćwiczenia, mało kiedy spał.“

Ja zaś — pisze dalej matka, — wiedząc historię swoich dziadków Czajkowskich, widziałam w moim dzieciaku ich podobiznę i kochałam go więcej.“

Zaiste odżyli dziadkowie Czajkowscy i różne się stare podobizny, w sercach głęboko pochowane, odnowiły, i otwarły się rzeczy zapomniane, i jał się w wielu duszach szum daleki, — jak w muszlach... Nie z pustego powietrza wziął się ten szum i nie z przygody składnego przypadku odnowiły się prawdy wyblakłe, — a wionął z morza cierpień polskich... Dlatego, że stanął na ziemiach Małopolski, zrazu we Lwowie, potem w Krakowie, potem wszędzie, gdzie tylko tu się ogień prawdy krzeszał, — że stanął na tej ziemi wielki Wygnaniec, który przynosił tajemne słowa, wyratowane z najszrońszych przesładowań i nawet w mrokach Sybiru nie zamarzające... Słowa, które luzem dotąd po Polsce latały, a teraz znów przez Niego we wspólną pamięć stać się miały związane... Człowiek, który żadnego nie zasypiał czasu, a budził życie, niecił odpór, do oręża zagrzewał, do walki gotował, do czynu sposobił, do Związków Strzeleckich przygarniał, powstanie niosąc w zanadrzu...

Człowiekiem tym był Józef Piłsudski. Za jego sprawami młodzież się bronią jeżyć poczęła i za jego przyczynieniem nadzieja wolności stanęła u powolonych wrót naszego domu niewoli.

Z tych czasów zda się pochodzić pierwszy pseudonim Leopolda Kuli, pierwsze godło i sławne później zawołanie czynów, mianowicie „Lis“.

Nazwa ta wywodzi się jeszcze z drużyn skautowych, w których, jak wiadomo, jest obyczaj drużyny imionami wielkich ludzi, zaś zastępy imionami zwierząt mianować. Otóż pod nazwą przemysłnego lisa, Leopold Kula, z drużyn skautowskich, jako szesnastoletnie chłopię, wdał się w oddziały Strzeleckie, aby nazwę Strzelca Polskiego, tych czasów wielkiej wojny światowej nigdy niezapomnianych, — wiecznym urokiem i wdziękiem otoczyć.

Strzelcem musiał być bardzo tegim i odpowiedzialnym, skoro wkrótce został pomocnikiem komendanta okręgu rzeszowskiego. W tym charakterze, już jako oficer, wszystkie szkoły hartowne Piłsudskiego przeszedłszy, wedle słów matki, — „w pierwsze dni wybuchu wojny ze swoimi kolegami z Rzeszowa wyruszył, żegnany jakąś wielką nadzieją pociechy“.

Jeżeli każdy czas ma swoje własne, sobie tylko właściwe wyrażenie i w słowie, i w tonie, i w modzie, w obrazie i w uczuciu, to najlepszym wyraże-

niem Polski naszej ówczesnej będzie właśnie młodociany oficer Legionów Lis-Kula... Jeśli któryś inny naród, na przykład Rosja, wyraża całą siebie w postawie, jakiegoś Ilii Muromcewa, o przemocnym kulaku, a inny naród żeglarza ponad wszystko wynosi, a Niemcy w Krzyżaku doskonałość swą widzą, a gładcy Francuzi i wolność swą i męstwo junackie w postaci rycerskiej dziewczyny, Joanny D'Arc ujrzeni, to dla nas, bez żadnej krzywdy czasu o którym mowa, — starczy Lis!..

Gdy sobie szedł, gdy spieszył na czele młodzieckiego oddziału przez złotą skibę kielecką, wysoki nadmiernie i gibki, w szarej skromności strzeleckiego odziewku, krótko postrzyżony przy skórze, niczem kret... Cery smagłej, o blasku niebieskiego oka miękkim, lecz nieustraszoną, pod cienkimi łukami brwi, o ustach małych, pięknych, zwięzłym obdarzonych słowem... Gdy szedł rozkołysany, a ręce długie same mu się z przykrótkich rękawów munduru w świat rwały... Gdy szedł z blaszanym Piłsudskim na czapce, wesół jak dziecko, posłuszny Wodzowi jak anioł, we wszelkim rozkazie brat, w każdym strofowaniu opiekun, w każdym trudzie pańszczyźnej wojny na siebie biorący, najuboższy w pośród tej armii, która i tak już sama była najbiedniejszą ze wszystkich armii świata.

Zaczął na wojnie od swej kompanii Rzeszowiaków w VI-tym batalionie I-ej Brygady, pod dzielnym i trwałym kierunkim druha swego, a zarazem dowódcy VI-go batalionu, świętej pamięci majora Albina Fleszara.

Ale jakgdyby zawsze tak być miało, iż to, co najgłębsze jest, — najwięcej wycierpi i przez największe przejście gąszcza... Bowiem, podczas, gdy inne bataliony Brygady zaraz się ze sobą związały i wkrótce w pułki strzeleckie się zrosły i tem samem zdobyły własne ogniska, własne nieodebrane gniazda sławy, własne rodziny, własne domy wojenne, — VI-ty batalion, niby na koszu osiadł, w domach tych miejsca już nie znalazłszy... A potem znowu, gdy Austriacy chcieli, w myśl trzy-bataljonowych pułków, wlepić V i VI batalion w skład istniejących już pułków legionowych, — bataliony V-ty i VI-ty (Olszyny i Fleszara) wielkim zawołały głosem do Komendanta, by ich nie wcielał teraz, gdy sobie już własną sławę wygrzały, żyją nią i nadzieję mają sławę tę, we własnym pułku pod liczbą "siedm" wspólnie złożyć.

Ale los znów nie poszczęścił, bo nim się 7-my pułk zrastać zaczął, Legiony się rozbiły.

Jakaż to była ta własna sława VI-go batalionu i ileż w niej miały do czynienia zasługi Lisa?

Gdy innych śmiertelną, lecz najsławniejszą drogą bajecznego marszu wskroś nieprzyjaciela z Uliny pod Kraków wiódł sam Wódz, pieśzo w szpicie idący, — tyś się strzepił i targała na piaszczystej wydmie bezdziałnego szturm pod Krzywopłotami...

Gdy na innych walkę i śmierć patrzają oczy Wodza... Gdy inni wojują w zgiełku rodzimej swady i zwady... Na twoją walkę i śmierć nikt nie patrzy, lub gorzej niż nikt, bo pozierają puste oczy Austriaka... Wojujesz, obcych drabów mając po bokach.

Tak przecież było w maju 1915 roku w Kieleckim pod Wszachowem, Baćkowicami, gdzie arcyksiążę

w skórę brało, a zdaleka od swego Wodza, ręką jego rzucony, krwawił za to arcyksiążę VI-y batalion, latając jeszcze głupstwa jakiegoś księcia Parmy i odzegnując się potem dumnie od całego deszczu orderów. Gdy inni straszną jesienią po półroczym boju i marszu legli w mokrych okopach, ale przy Wodzu swym i żyli z nim pod Koszyszczami za pan brat, tyś był rzucony, poprzez złamane kolano Styru, śmierci w gardło, na Kukle, Jabłonkę, Kamieniuchę i zgrabiałą krwawą ręką pchałes Rosjan, gdy już nawet Niemcom tchu brakło i gdzie ich piechur legł skoszony, rozwalwszy beładnie ramiona...

Tak to, największego trudu, a zatem największej chwały pełna, była czara własnej sławy VI-ego batalionu.

Zasługi Lisa w tym batalionie, jego macierzystym?..

Wszystko co tylko zmieścić, co tylko unieść może i objąć dumna cześć oficera nieustraszonego we frontowym dowództwie i w służbie frontowej... Wszystko także, co się złożyć może na zasługę oficera armii ciągle kuszanej, ciągle mamionej, ciągle prowadzonej przez wroga podstępem ku wyłamaniu z ram honoru...

Lis-Kula odznaczył się świetnie podczas szturm pod Krzywopłotami, jako dowódca kompanii wzbudził powszechny zachwyt w roku 1915 w bitwach pod Wszachowem i Zernikami. Tego samego roku na Wołyniu, właśnie w najcięższej chwili, gdy się inni już wykruszyli, wymarnowali, prowadził pułk i dokonał, sławą się okrywając ogromną, nieprawdopodobnych szturmów na Jabłonkę, Kukle i Kamieniuchę.

Po walkach tych pojechał porucznik Lis-Kula do kraju na uczniowski urlop, zdawać maturę.

Bo wszak ciągle należy pamiętać, że ten mąż bojowy, nieulekły, że ten warneńczyk nieugięty, — podług lat swych ilości, tak pięknie ku sławie wstępujących, był chłopięciem zaledwie. Czasy wolne, przez które wojsko stało na leżach, lub na odpoczynkach, najchętniej spędzał na zabawach, na grach sportowych i najulubieńszej w piłkę nożną. Wtedy ustawało wszystko, i to że jest wojna, i że jakieś szarże są, i że jakieś niepodległości wygnane pokutują za bramą złych Narodów... Wtedy wśród szumiącego lasu Wołynia, w czworoboku ustawionym z osiedziałych wojaków, pod przekornym patronatem Komendanta, za piłką, jak głośna kula radości, wyskakującą z pod nóg, w gromadzie towarzyszy, kolorami drużyny kratkowanych, — pierwszy gnał Lis. A cała piechota przeciwko artylerji grająca, w niezachwianej ufności do długich giczałów Lisa, krzyczała, chcąc przyspieszyć zwycięstwo: — Lis - vor! vor! vor! — Lis — szpurt!

Więc Lis brał tym jedynym lisim szpurtem, podczas, gdy z ukośnego nieba lotnicy rosyjscy ciskali bomby na boisko.

Tak się ostatni raz grało przed bitwą pod Kołodziejami, w której znów Lis stanął między pierwszymi, choć pierwszeństwo w tej bitwie okupić trzeba było już siłą nieomal nadprzyrodzoną. O bojach arjergardy, które tam prowadził, opowiadali żołnierze po bitwie z wraskiem zachwytu. Jak ich, już nieprzytomnych od strasznego ognia ciężkiej artylerji, trawionych pragnieniem, przeżartych dymem, omdlałych z głodu, zbierał w garść... Jak ich za pozycjami, przed Laskiem Saperskim wyciągnął w linię i jak na dziesięć kroków

w ciężką masę rosyjskiej piechoty spokojnie sypał salwami.

Po tej bitwie, w czas jakiś, Legjony ściągnięte zostały do kraju, a Niemcy i Austrijacy rozpoczęli o nie grę hazardową. Ten, tamten i ów, wszyscy potentaci, którzy do tej gry zasiedli, potworzyli specjalne mądrości, mocą których miał żołnierz legjonowy na pasek iść...

Wyglądało wtedy, jakby honor wojskowy był jakąś zabawką, czy gonitwą z zawiązanymi oczyma w ciuciubabkę. Z przeróżnych stron dokładano do tego jeszcze rozmaitych mocnych przypraw, niby, że tego żąda kraj, a owego kraj nie zniesie, a tamto znów szkodzi mu bardzo...

W przeprawach tych i gadaniach ogromnych a niebezpiecznych, Lis się trzymał, jak mało kto. Napróżno wszelakie krasno-mędrki łuskały słowa najpodstępniejsze. Kapitan Lis znał wagę rzeczy, przedziwnie ją rozstrzygał młodziutkim swym umysłem i głos jego zawsze ku dobremu ciążył.

Aż wreszcie pękły Legjony. Jedni poszli, za drutami Szczypiorna w gorzkim poniżeniu dawać codzienne świadectwo prawdzie, drudzy, jak towar gruby, w wagonach upakowani, odesłani zostali do fortecy Przemyskiej, pod czujne oko Niemców, Czechów, Madziarów i Rusinów.

I tu, w tym czasie ciągłego obrzydzenia, dreszczu, zgrozy, gdy koła posłów zasiadały w Krakowie, ale mąt się tam czynił w naradzie, a żołnierz polski równocześnie tłukł łbem o ścianę austriackich werków, gdy się rozpełzał po wzgórzach i już miarkował miejsca, z których rzuci się na miasto, by wszystko pogrążyć w krwi swojej zrozpaczonej, — tu, w tym czasie odpraw ponurych, warczących, niesamowitych, — był Lis jako gałązka oliwna nad przepaścią spustoszenia kwitnąca.

Tyle w nim było serca rozumu i spokoju.

Tutaj więc okazało się już napewno, że rękę tego rycerskiego młodzieńca porusza stałość męża i rzadka, niebywała cnota wodza.

(Dalszy ciąg nastąpi).